

JĘŚLI POWIESZ MI, BYM PRZYSZEDŁ,
RZUCĘ WSZYSTKO I PRZYJDE...
ALE MUSISZ MNIE POPROSIĆ

ALBERT ESPINOSA



Pamiętam jak dziś jej słowa: „Nie pragniesz zaznawać szczęścia w każdym aspekcie swego życia...? Chcesz się godzić na to, co ci się nie podoba...? Nie wolałbyś czuć, że masz życie pod kontrolą, niż biernie poddawać się losowi, siedząc w dwudziestym trzecim wagonie...?”.

Nic nie odpowiedziałem...

Prychnąłem tylko, wydmuchując głośno przez nos strumień powietrza i ukazując zza uśmiechu nadziei złamany ząb.

Nie powiedziałem nic, bo kiedy godzisz się przez lata, że życie jest tym, co ci się przydarza, a nie tym, co tworzysz... Cóż, niestety, w końcu się do tego przyzwyczajasz.

Dodała potem: „Znasz taką starą piosenkę: »Jeśli powiesz mi, bym przyszedł, rzucę wszystko i przyjdę...«?”.

Znów skinąłem głową w milczeniu. Nie mogłem wydobyć z siebie słów, paraliżowały mnie emocje. Nie przechodził mi przez gardło żaden dźwięk.

Ona mówiła dalej: „Zawsze uważałam, że w tej piosence czegoś brakuje... Powinno być: »Jeśli powiesz mi, bym przyszedł,

rzucę wszystko i przyjdę... Ale musisz mnie poprosić».

W końcu spojrzała na mnie i rzuciła trzy pytania, które od lat pragnąłem od kogoś usłyszeć: „Czy chcesz kontrolować swoje życie, czy nie? Czy chcesz być panem każdej przeżywanej chwili, czy nie? Czy chcesz?”.

Odpowiedzią było „tak”, najgłośniejsze i najbardziej stanowcze, jakie wyszło z moich ust w ciągu czterdziestu lat życia.

„Tak”, kontrastujące z najbardziej stanowczym „nie”, które usłyszałem niewiele godzin wcześniej...

I musicie zrozumieć to „nie”, zanim opowiem wam o tym „tak”. W przeciwnym razie wszystko nie będzie miało sensu i nie pojmiecie absolutnie nic.

Dlatego musicie się koniecznie dowiedzieć, co się wydarzyło w godzinach poprzedzających ów moment, gdy poznałem kobietę, która zmieniła moje spojrzenie na życie i świat.

Przejdźmy do owego „nie”...

Kilka godzin wcześniej posprzeczałem się z moją partnerką. Nie było to dla nas nic niezwykłego ani groźnego. Ostatnio stałe się kłóciliśmy.

Gdyby ktoś nas obserwował, pomyślałby, że nasz związek zaraz się rozpadnie, a tak wyglądała po prostu nasza codzienność.

Była siódma trzydzieści rano. Pomyślałem, że wkrótce nadejdzie świt i że potrzebujemy jeszcze dwóch godzin rozmowy, a potem być może dobrych dwudziestu minut seksu, aby zawrzeć pokój. Cały ten czas, którego brakowało, wywoływał we mnie dziwne *déjà vu*.

Pary i ich rytuały. Pary i ich kody.

Każda para ma swój własny kod sprzeczeki, seksu, przebaczenia, a nawet robienia partnerowi wymówek.

Ale tego dnia kod się rozpadł, nie było dwóch godzin rozmowy ani dwudziestu minut seksu... Wiedziałem o tym, gdy dostrzegłem jej spojrzenie... Było mi obce, nie towarzyszyło mu żadne słowo.

Zawsze patrząc na mnie, coś mówiła, była to jedna z jej licznych zalet, które mnie olśniewały. Może dlatego, że sam takiej cechy nie miałem... To milczące spojrzenie całkowicie

mnie zmroziło.

Wydawało się, że zamierza powiedzieć coś w stylu: „To na nic...”, „Mam już dość kłótni...”. Albo „Czemu tacy jesteście, skoro tak bardzo się kochamy...”. Ale tylko mi się przyglądała...

I właśnie w tym momencie, gdy wpatrywała się we mnie tak dziwnie i intensywnie, przypomniały mi się słowa, które usłyszałem wiele miesięcy wcześniej podczas spektaklu tańca.

Zorganizowano go na cześć Freddy’ego Mercury’ego i innych artystów, którzy zmarli w młodym wieku... A może chodziło o coś innego, już nie pamiętam.

Nie lubię tańca, ale uwielbiam widok poruszających się ciał i nieznaną muzykę połączoną z choreografią. Wychodzę silnie pobudzony, w sensie emocjonalnym.

I czasem, jak owego dnia, słyszę podczas tych spektakli słowa, które trafiają jak grot prosto w serce.

Tamtej nocy tancerz występujący solo wyrecytował, wykonując niewiarygodne ruchy i rozciągając nieprawdopodobnie ciało: „Powiedzieliście nam, byśmy wybierali miłość... nie wojnę. Posłuchaliśmy was, więc czemu miłość wypowiada nam wojnę?”.

Uśmiechnąłem się na wspomnienie tych słów, a ona wciąż świdrowała mnie wzrokiem i nagle oznajmiła:

— Muszę cię opuścić, Dani.

Muszę... Muszę... Jej determinacja przeniknęła mnie na wskroś.

Przyszedł mi do głowy ten sam czasownik w angielskiej wersji. Owo *must*, które wydawało mi się zawsze eleganckim słowem. Niewiele wyrazów ma tak jasne znaczenie — wiesz, że używając ich, wyrażasz określoną treść.

— Musisz? — spytałem.

— Muszę...

Znów zaległa cisza.

Postanowiłem nie dać za wygraną.

Najlepiej było powiedzieć „kocham cię” w specyficzny dla nas sposób. Każda para robi to po swojemu. My — jak bohaterowie pierwszego filmu, który oglądaliśmy razem. Widziałem go już wcześniej przed wielu laty w szczególnym momencie mego życia i dlatego zdecydowałem obejrzeć go z nią, ze względu na to, jak bardzo mnie poruszył.

Był to znakomity film Jeana-Luca Godarda *Do utraty tchu*. Belmondo nigdy nie był bardziej Belmondem niż w tym obrazie.

Nasza ulubiona scena rozgrywała się w samochodzie. Padało tam wiele słów, ale my zachowaliśmy w pamięci tylko trzy zdania i wypowiedzieliśmy je zawsze jednym ciągiem, bez przerw, tak jak je usłyszeliśmy w dialogu, który zrobił na nas wrażenie.

To był właśnie nasz sposób mówienia sobie wzajemnie „kocham cię”. Nigdy nie zaniedbywałem okazji, by wykorzystać te trzy zdania podczas sprzeczki lub w chwilach napięcia.

Ja mówiłem pierwsze i trzecie zdanie, ona drugie. Choć czasem bywało odwrotnie. Zależnie od tego, które z nas musiało przywołać partnera do rozsądku, do miłości...

Nie używaliśmy tych zdań na co dzień.

Aby coś tak magicznego podziałało, kluczową sprawą było uciekanie się do tej metody jedynie w rozpaczliwych sytuacjach.

Przeniknąłem ją wzrokiem. Chciałem, by wiedziała, że to jedna z takich chwil.

— Nie mogę żyć bez ciebie — powiedziałem, naśladowając, jak tylko umiałem, mimikę twarzy Jeana-Paula Belmonda.

Popatrzyła na mnie, nic nie mówiąc. Ponowiłem atak:

— Nie mogę żyć bez ciebie.

Spojrzała na mnie po raz drugi.

Wyraziła odmowę oczami, potem ruchem głowy i w końcu wypowiedziała najbardziej zdecydowane „nie”, jakie słyszałem w życiu. Było tak stanowcze, że wiedziałem, iż wszystko się skończyło.

Być może zresztą nie musiała nic mówić. Nie podejmując gry, dała już wyraźny sygnał, że to koniec.

Próbowałem nawiązać z nią fizyczny kontakt, bo tylko to mi pozostawało. Zbliżyłem się do niej, ale odsunęła się, zanim zdołałem jej dotknąć.

Wiedziałem, że mogło istnieć niemal piętnaście ważnych powodów jej decyzji co do opuszczenia mnie, choć jeden przeważał nad wszystkimi pozostałymi.

W chwili gdy zamierzałem ją spytać, dlaczego to robi, zadzwonił mój telefon służbowy. Korzystałem z niego wyłącznie w krytycznych sytuacjach.

Zastanawiałem się, czy odebrać, bo wiedziałem doskonale, że moment nie jest odpowiedni i będzie to kropla, która przepelni czarę... Ale, sam nie wiem dlaczego, odebrałem.

Zaledwie powiedziałem „słucham”, ona odeszła do naszego pokoju.

Właśnie wtedy przypomniałem sobie mądrą radę otrzymaną od jednego z moich nauczycieli, dobrego człowieka, którego poznałem, gdy mieli mi wyciąć migdałki.

Przebywałem z nim tylko przez kilka dni w szpitalu w moim rodzinnym mieście, lecz wywarł wpływ na moje życie. Od pewnego czasu o nim nie myślałem, chyba już zbyt długo... Ale owo „nie” natychmiast mi go przypomniało...

Chyba muszę wam o nim opowiedzieć, bo nie wiedząc, co przeżyłem u jego boku przed trzydziestu laty, trudno zrozumieć, dlaczego jestem, jaki jestem, i dlaczego ona nie chce już ze mną być.

Stałem się tym, kim jestem, dzięki panu Martínowi — i z jego winy.

Jednakże zanim pozwolę sobie sięgać pamięcią w przeszłość, słuchając w tym momencie, niby ścieżki dźwiękowej, dziwnych odgłosów spowodowanych tym, że ona zabiera wszystkie rzeczy z naszego pokoju, muszę przytoczyć te trzy zdania z filmu Godarda, które kiedyś znaczyły dla nas „kocham cię”.

„Nie mogę żyć bez ciebie...”.

„Owszem, możesz...”.

„Tak, ale nie chcę”.

Wyszeptalem je do samego siebie delikatnie, słodko...

Ale trudno jest się cieszyć własnym „kocham cię”.

W dniu, w którym poznałem pana Martína, przyjęto mnie w wieku dziesięciu lat do szpitala na operację wycięcia migdałków, a jemu mieli właśnie usunąć półtora płuca.

Wchodząc do sali, tak bardzo się bałem, że swym lękiem dodałem mu otuchy.

— Myślałem, że nikt na świecie nie odczuwa większego strachu niż ja, ale widzę, że ty boisz się trzy razy bardziej. To mnie uspokaja — oznajmił poważnie.

Był potężny, miał prawie dwa metry wzrostu i ważył niemal sto pięćdziesiąt kilo.

Wszystko w nim było ogromne, przekroczył już dziewięćdziesiątkę, a szarawa broda przesłaniała mu całą twarz.

Przestraszyłbym się, gdybym go spotkał na ulicy, ale tam, w szlafroku, który nie zakrywał mu nawet pośladków, wydawał mi się całkowicie niegroźny.

Rodzice poszli załatwić mój wpis do szpitala. Cieszyłem się, że ich nie poznał. Wtedy jeszcze się ich wstydziłem.

Moim wielkim sprzymierzeńcem wobec tego olbrzyma była

pielęgniarka, która nie wydawała się zbytnio mną zainteresowana, ale miała odpowiednie wzrost, wagę i wiek.

Moja tarcza zniknęła jednak, gdy tylko znalazłem się w ogromnym łóżku.

Zostałem sam z najbardziej niezwykłym człowiekiem, z jakim dzieliłem w życiu oddech. Nikt inny nie pozbawiał mnie tchu do tego stopnia ani nie sprawiał, że czułem tak blisko jego tchnienie.

Milczeliśmy. Wciąż mi się przyglądał.

Przez niemal dwie minuty trwało wielkie napięcie. Wyczuwał mój strach, ale nie wyglądało na to, że mnie zaatakuje. W końcu przerwał ciszę.

— Mam na imię Martín. A ty?

Wyciągnął do mnie rękę. Wahałem się, czy ją uścisnąć.

Rodzice uczyli mnie, bym nigdy nie zadawał się z nieznajomymi. Chociaż, teoretycznie, Martín nie był całkiem obcy, skoro miałem przez kolejne trzy noce pozostawać u jego boku, jeśli nic się nie skomplikuje.

To dziwne. Był nieznajomym, który miał wkrótce, z konieczności, stać się kimś bliskim.

— Dani...

Powiedziałem to niemal szeptem. Ale myślę, że usłyszał.

Uścisnąłem mocno rękę, którą do mnie wyciągnął. Uśmiechnął się, nie ściskając mojej. Miło było poczuć, że miałem więcej siły niż on.

Chciałem mu coś powiedzieć, ale akurat w tym momencie zjawił się sanitariusz, by zabrać go do sali operacyjnej.

Mówił głośno. Ludzie mają zwyczaj mówić tak do osób starszych. Sądzą, że ułatwiają im życie, podnosząc głos albo

obniżając poziom ich witalnej energii.

— Panie Martín, pora iść na salę operacyjną. Gdzie pańska osoba towarzysząca?

Pan Martín dał mu znak ręką, by zniżył ton. Zrobił to w zabawny sposób.

— Nie mam osoby towarzyszącej — odparł po chwili bez odrobiny wstydu.

— Nie ma pan nikogo, kto by czekał na zewnątrz, kiedy będzie pan operowany? — powtórzył dwudziestolatek niemal grubiańskim tonem.

— Wiele osób będzie czekało na mnie, jeśli operacja się nie uda, ale nie ma nikogo, kto by czekał, jeśli się powiedzie.

Tym razem sanitariusz poczuł się zawstydzony.

— Przykro mi — mruknął.

— Mnie nie. To już nie mój czas. Jest zatem rzeczą normalną, że nie ma już przy mnie moich bliskich, prawda?

Wszyscy trzej pogrążyliśmy się znów w milczeniu.

Nie wyobrażałem sobie nigdy, by człowiek nie miał nikogo, kto wyczekiwałby zdenerwowany pod drzwiami sali operacyjnej. Kogo wychodzący lekarz mógłby uspokajać w razie przedłużania się operacji lub problemów wynikających z jakichś komplikacji.

— Co mają panu zrobić? — spytałem, starając się naśladować jak najlepiej ton dorosłego.

Odwrócił się i znów wbił we mnie wzrok.

— Zostawią mi tylko połowę płuca. Tyle, bym mógł wdychać i wydychać trochę powietrza. W moim wieku nie potrzebuję zresztą wiele więcej. Powiedziano mi, że można żyć nawet z jedną czwartą płuca. A więc będę miał aż za dużo...

Byłem wstrząśnięty. Traciłem migdałki, a mieli mi

towarzyszyć rodzice, dwoje żyjących jeszcze dziadków i brat. On tracił część płuc i nie miał przy sobie nikogo...

Chyba wtedy odkryłem, że świat jest niesprawiedliwy. Od tamtej pory byłem świadkiem tylu przypadków niesprawiedliwości, że przestałem je liczyć i pozostawałem na nie obojętny.

— Ja będę na pana czekał — oznajmiłem, niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co mówię.

Po raz pierwszy się uśmiechnął. Było w tym uśmiechu wiele radości.

Podszedł, żeby mnie uścisnąć. Przekazał mi tym uściskiem cały strach, który odczuwał przed operacją mającą pozbawić go możliwości wdychania takiej ilości powietrza, jakiej zapragnie.

— Dziękuję — wyszeptał. — Lepiej wychodzić stąd, wiedząc, że ktoś będzie na ciebie czekał. Będę miał wrażenie, że występuję dla kogoś, a to ważne... Wiedziałeś, że w teatrze spektakl odbywa się tylko wtedy, gdy na widowni jest co najmniej tylu widzów, ilu aktorów na scenie?

Pokręciłem głową.

— Teraz mogę już wystąpić, bo patrzy na mnie widz. Zrobię to dla ciebie jak najlepiej.

Zwolnił uścisk i przestał szeptać.

Sanitariusz zabrał go i gdy zostałem sam, zrozumiałem, jak wielką wzięłem na siebie odpowiedzialność.

Miał spędzić około ośmiu godzin na sali operacyjnej, a ja byłem zdecydowany zachowywać się jak oddana mu osoba towarzysząca.

Dziesięcioletni chłopak odpowiedzialny za dziewięćdziesięcioletniego starca.

Wtedy wydawało mi się to czymś normalnym... W tej chwili uważam, że było to dziwne.

Teraz jednak wszystko jest inne, bez niej, bez naszego kodu miłości zostałem trochę sierotą.

Wiem, że chcecie wiedzieć, czy pan Martín wrócił z sali operacyjnej z połową płuca, ale muszę opowiedzieć wam dalej o podróży, którą odbyłem, zanim spotkałem staruszkę, której zdaniem tekstom niektórych piosenek o miłości brakuje jednego wersu, aby były kompletne.

Dlatego musimy wrócić do mojej rozmowy telefonicznej i nowej pracy, którą chciano mi zaoferować...

Gdy ona zabierała swoje rzeczy z pokoju, ja rozmawiałem w salonie przez telefon. Sytuacja była surrealistyczna.

Nie mogłem znieść odgłosów, które świadczyły o tym, że pakuje walizkę. Wiedziałem, że zgodziłbym się w tych okolicznościach na wszystko. Nie chciałem zostać sam w salonie, gdzie przed chwilą się kłóciliśmy, ani tym bardziej w pustym domu bez niej.

Wiem, że mogłem za nią pójść. Jeszcze nie odeszła, ale mieliśmy tyle problemów, tak bardzo ciążyła nam przeszłość, że nie umielibyśmy tego rozwiązać jak bohaterowie filmu.

Na nic by się zdało, gdybym stanął w drzwiach pokoju, spojrzął na nią, odsunął ją od walizki, obdarzył niesamowitym pocałunkiem i powiedział, że nie może odejść.

Nic by to nie dało i dobrze o tym wiedziałem. Chciała usłyszeć coś, czego w tym momencie nie mogłem jej powiedzieć.

Bo czasem dwojgu ludziom tak bardzo ciąży przeszłość, że nie wystarcza nawet miłość... Nie wystarcza nawet miłość.

Na kartce, po którą właśnie sięgnąłem, aby zanotować dane

dotyczące zlecenia, zapisałem: „Nie wystarcza nawet miłość”.

To fascynujące, gdy mózg wydaje podświadomie rozkaz ręce i powtarza myśli, które wyraża serce, choć nie zostały one głośno wypowiedziane.

Myśl bywa tak intensywna, że wzmacnia to, co jest z pewnością tylko zwykłym konceptem, i pokazuje, jak bardzo jest on zakorzeniony w twoim umyśle.

Zapisywałem dalej dane dotyczące zlecenia.

Jak zwykle, człowiek, który chciał mnie zatrudnić, starał się mówić spokojnym głosem, ale brzmiała w nim panika.

Bał się piętnaście lub szesnaście razy bardziej niż dzieciak, któremu mieli wyciąć migdałki. Zawsze stosowałem ten pierwotny lęk jako jednostkę miary czystego strachu.

— W jakim wieku jest dziecko? — spytałem.

Jeśli miało mniej niż jedenaście lat, nigdy nie przyjmowałem zlecenia. Ściśle tego przestrzegałem. Obym w innych życiowych sprawach miał wszystko tak poukładane jak w pracy.

— Niedługo skończy dziesięć. — Głos w słuchawce lekko drżał.

Uniemożliwiało mi to już zajęcie się sprawą, ale pytałem w dalszym ciągu. Chyba po to, by nie kończyć rozmowy i uniknąć konfrontacji z nią. Potrzebowałem czasu, żeby zdecydować, co zrobić, przynajmniej jeszcze trochę...

— Kiedy zniknął?

Jeśli stało się to mniej niż trzy dni temu albo więcej niż dwa lata temu, również bym odmówił. To było regułą. Z czasem odkryłem, że stosowanie reguł ma sens w pracy, nigdy w sprawach osobistych.

— Przed dwoma dniami.

Dwa razy „nie”. To nie była sprawa dla mnie. Musiałem być realistą i powiedzieć to wyraźnie temu człowiekowi, zanim zaczniesz mieć nadzieję, że potrafię mu pomóc.

— Proszę zadzwonić na policję — oznajmiłem jak najbardziej oschłym tonem. — Pomogą panu skuteczniej niż ja.

Zapadła głucha cisza.

Nie słyszałem nawet jego oddechu. Gdy przez dwa dni nie możesz odnaleźć zaginionego dziesięcioletniego dziecka, jesteś zdruzgotany i odczuwasz pustkę. Pokładasz wtedy nadzieję w każdym, kto twoim zdaniem może ci je zwrócić.

Wcale się nie wymądrzam, wiem to z pierwszej ręki. Od lat zajmuję się poszukiwaniem zaginionych dzieci i nastolatków.

Początkowo nie trzymałem się żadnych zasad i szukałem nawet dzieci poniżej dziesięciu lat, ale to, co zacząłem odnajdywać, tylko mi szkodziło.

Nie wiem, którego dnia postanowiłem specjalizować się w poszukiwaniu dzieci powyżej dziesięciu lat i nastolatków. Sądzę, że wyniknęło to z potrzeby unikania nieznośnych cierpień i znalezienia wymówki. Jak niemal wszystko w życiu.

Zawsze chciałem być policjantem, prowadzić dochodzenia. Ale przede wszystkim poszukiwać ludzi, którzy wyszli z domu z niewyjaśnionych powodów.

Myślę, że skupiłem się na nastolatkach i dzieciach, gdyż w tym wieku byłem najbardziej szczęśliwy i tylko ten okres życia jeszcze rozumiem. Z tego powodu mam dobry kontakt z ludźmi, którzy nie są na razie dorośli.

Teoretycznie, dzieciństwo i młodość trwają do osiemnastego roku życia. Sądzę jednak, że to nieprawda; wielu z nas pozostaje dziećmi, choć budzi to powszechne zgorszenie.

Abyście zrozumieli moją obsesję na punkcie zaginionych, dzieci, nastolatków i pracy, którą wykonuję, najlepiej będzie, jeśli opowiem wam o moim własnym dzieciństwie i młodości. Chyba to najlepszy sposób, byście mnie poznali.

Usłyszałem odgłos zamykanych drzwi.

Ona odeszła.

Uderzyła mnie nagle pustka tego domu, zmieszana z milczeniem człowieka, który wciąż wyczekiwał przy telefonie.

Dwie różne cisze o dwóch całkowicie odmiennych tonacjach. Choć obie miały coś wspólnego... Wiele szarości i wiele cierpienia.

Wszedłem do pokoju.

Jej część szafy była całkowicie opróżniona. Doznałem szoku. Nie wyobrażałem sobie, że puste szuflady mogą mieścić tyle zawartości i że ktokolwiek potrafi tak szybko spakować do walizki całe życie.

Czekający przy telefonie ojciec dziecka zaczął błagać o pomoc.

Nie mogłem oderwać wzroku od tych sześciu szuflad, wysuniętych do połowy na różnej wysokości. Tworzyły jakby schody rozpaczy...

Podszedłem do jej szafki nocnej.

Otworzyłem dwie szuflady, które zawsze były wypełnione mnóstwem rzeczy. Mogło się wydawać, że żaden z drobiazgów, które tam spoczywały, nie jest ważny, ale stale jej powtarzałem, iż wszystko, co trafia do szafki nocnej, przeżyło z tobą dzień, towarzyszyło ci w drodze do łóżka, do snu, do kolejnej nocy i dlatego ma wielką wartość.

Wchodząc do pokoju dziecka, przeglądałem zawsze najpierw jego szafkę nocną. Miało tam najważniejsze przedmioty swojego

życia i swego małego świata.

Ale tych, które należały do niej, już nie było.

Szafka nocna została opróżniona. Obie szuflady były całkowicie puste.

Ojciec dziecka proponował mi przez telefon coraz więcej pieniędzy. Cieszyłem się, że w obliczu tej pustki nie słyszałem przynajmniej ciszy.

— Przyjmę tę sprawę — oznajmiłem wreszcie.

— Dziękuję, dziękuję, dziękuję... — powtarzał bez końca.

Nie wiem, ile razy to powiedział. Wiem, że sprzeniewierzałem się zasadom, ale było mi wszystko jedno. Z pewnością nie mogłem spędzić kolejnej nocy w tym domu pełnym pustych, na wpół otwartych szuflad.

Budził we mnie panikę. Potworną panikę.

— Gdzie pan mieszka?

Nie było to przypadkowe pytanie, po prostu nie chciałem, by zaginięcie tego dziecka zdarzyło się w moim mieście. Musiałem wyjechać gdzieś dalej, w jakieś miejsce, gdzie nie dotrze do mnie zapach straty.

— Na Capri — odparł. — Jeśli pan sobie życzy, mogę przesłać panu e-mailem wszystkie informacje, jakie mam na temat syna. Dostałem adres e-mailowy, nie wiem, czy dobry, albo, jak pan woli, wyślę faks...

Już go nie słuchałem, choć mu odpowiadałem. Informowałem go, co ma mi przesłać, dokąd i w jaki sposób, jakie są moje stawki i jakiego rodzaju transportu potrzebuję. Nie zwracałem jednak zupełnie uwagi na to, co mówił, tak bardzo poruszyła mnie wiadomość, że mam wrócić na Capri. Byłem tam raz, dokładnie w wieku trzynastu lat. Ta wyspa mnie ocaliła.

A teraz miałem powrócić na Capri akurat w chwili, gdy znów byłem tak zagubiony i samotny... To niewiarygodne, jak wyspa ta ratowała mnie zawsze, gdy mój półwysep się pogrążał.

Właśnie na Capri spędziłem ostatnie dni mego dzieciństwa-młodości. I nie dlatego, że przybyło mi lat, lecz ze względu na to, że w pewnym sensie dorosłem.

No dobrze, opowiem wam o Capri... I o George'u, człowieku, który wywarł duży wpływ na kres mojego dzieciństwa...